

Zaczepne działania Armii Radzieckiej, podjęte 21 lat temu nad Wisłą, przyniosły w ciągu niewiele dni ostateczne wyzwolenie naszych ziem z pięcioletniej niewoli. Dlatego nie dziwnego, że w myśl zasady bliskości ciała kosztu, zwykliśmy ową wiślańsko-odrzańską operację wspo- minać najczęściej jako wydarzenie przełomowe w najnowszej historii naszego kraju.

A jednak te wyzwolenie działań radzieckich prowadzone przez naj- bliższe, najdroższe nam punkty glo- bu, były również niezmiennie ważne w skali ogólnej drugiej wojny świa- towej; wojny, w którą z inicjatywy hitlerowskich podpalaczy świata i ich sojuszników wplątanych zostało łącznie 980 milionów ludzi.

W jakim stopniu właśnie to, co w pamiętnym styczniu 1945 roku roze- grało się na ziemiach polskich po- między Wisłą a Odrą, wpłynęło do- borczynie na losy owych milionów? Jak dalece skróciło ich cierpienia, którymi opłacał każdy z kolejnych dni wojny? Niech świadcza choćby następujące opinie brytyjskie.

Oto właśnie rankiem 12 stycznia 1945 roku — kiedy w Londynie jesz- cze nikt nie wiedział o rozpoczęciu przez wojska marszałka Koniewa of- ensywy z przyczółka sandomierskie- go — rząd brytyjski, pesymistycznie oceniający po klęsce wojsk alian- cych w Ardenach możliwości rychłe- go zmuszenia III Rzeszy do bez- względnej kapitulacji uchwalił, iż „za podstawę planowania należy przyjąć jako najwcześniejszy ter- min zakończenia wojny (w Euro- pie — Z. S.) datę 31 grudnia 1945 roku” (Nota bene: w tym sa- mym czasie w waszyngtońskim oto- czeniu Roosevelta oceniano, iż „woj- na w Europie nie zakończy się przed rokiem 1946”).

Już jednak 22 stycznia 1945 roku, a więc zaledwie dziesięć dni później (tylko, że w czasie tych zaledwie dziesięciu dni czołgi radzieckie do- tarły na przedpole Górnego Śląska, pod Poznań, Bydgoszcz, Malbork) brytyjski Komitet Szefów Sztabów orzeka optymistycznie: „Nowa ofen- sywa Rosjan diametralnie zmieniła sytuację. Według najbardziej wiaro- godnych przypuszczeń, końca wojny można oczekiwać nawet już w po- łowie kwietnia”.

Kto wie! Może gdyby wojska an- gloamerykańskie nie tkwiły bez większych sukcesów nad Renem aż do marca, rzeczywiście udałoby się skrócić trwanie wojny nie tylko o owe, zaoszczędzone wysiłkiem ra- dzieckim, dziewięć miesięcy.

Nie oceniamy jednak wpływów wiślańsko-odrzańskich operacji na przebieg drugiej wojny światowej jedynie na podstawie ocen zachod- nych. Znacznie bardziej autorytatyw- ne pod tym względem wydają się o-

Zbigniew Szumowski

Przełamanie kręgosłupa

pinie niemieckie. I to nie tylko for- mulowane już po ostatecznym po- gromie Trzeciej Rzeszy. Np. w róż- nego rodzaju pamiętnikach lub opra- cowaniach historycznych, w których jednoznacznie pisze się o „katastro- falmym załamaniu się obronnych wy- siłków Niemiec”, „tragicznym zawa- leniu się, jak domku z kart, frontu wschodniego” itp. itp.

Oto niektóre opinie i dane dowód- zwa niemieckie, pochodzące ze sty- cznia i lutego 1945 roku.

19 stycznia kierownicy wydziałów operacyjnych wszystkich trzech ro- dzajów sił zbrojnych przedkładają szefowi sztabu operacyjnego OKW — generałowi Jodlowi, wspólnie o- pracowany memoriał. Zarazem pro- szą o „ewentualne przekazanie w od- powiedniej formie tych uwag Fueh- rerowi”. Jodl wszakże uznaje, że nie ma już czasu na bawienie się w „odpowiednie formy”. Jakkolwiek memoriał jest niemal defetystyczny, wędruje do rąk „Fuehrera” bez re- tuszu. „Najwybitniejszemu stratego- wi wszystkich czasów” nie zostaje zaoszczędzona nawet lektura pierw- szego zdania:

„Radziecko — rosyjska ofensywa przybrała takie rozmiary i wykazała dotychczas takie postępy, iż budzą one poważne troski co do dalszego kierowania wojną”.

Ale i dalsze wywody nie są balsa- mem. Wręcz przeciwnie. Stwierdza się bez ogródek, iż:

a) na odcinku zbrojeń — utrata górnośląskiego okręgu przemysłowe- go (...);

b) na odcinku aprowizacji — utra- ta najbardziej żyznych terenów Śla- ska, Poznańskiego i Prus Wschod- nych;

c) na odcinku politycznym — utra- ta prestiżu (...) także u jedynego, po- tencjalnie jeszcze silnego sprzymie- rzeńca — Japonii;

d) na odcinku ekonomicznym — utrata sił roboczych wielu milionów ludzi; ponadto utrata wielu czyn-

nych zakładów zbrojeniowych, por- tów morskich na Bałtyku, co pocią- gnęło za sobą katastrofalne następ- stwa w prowadzeniu wojny mor- skiej, wreszcie nieodwracalne skut- ki natury psychicznej...”

Jakkolwiek na ów alarm Hitler zareagował pospiesznym ogala- niem frontu zachodniego i w szel- kich możliwych do wyciągnięcia je- szcze jednostek, nie tylko pancern- nych, operacja radziecka nie została powstrzymana.

29 stycznia, w prowadzonym przy sztabie Jodla „Dzienniku wojennym OKW” (do którego zapisywano naj- ważniejsze wydarzenia, wiadomości i komentarze), pojawia się następu- jąca informacja:

„Minister Rzeszy — Speer oświad- czył, iż poprzez odpadnięcie Śląska efektywność gospodarki zbrojenio-

HISTORYCY WOBEC TYSIĄCLECIA

Kontynuujemy nasz cykl: „Historycy wobec Tysiąclecia”, w którym przedstawiamy poglądy uczonych na najważniejsze wydarzenia państwowości polskiej. Dziś zabiera głos jeden z najwybitniejszych historyków polskich, profesor Uniwersy- tetu im. Adama Mickiewicza — Kazimierz Tymieniecki.

Prof. dr Kazimierz Tymieniecki

POCZĄTEK POLSKI

Mówiąc o początkach czło- wieka na ziemiach później- szej Polski możemy z po- mocą danych archeologii przedhistorycznej cofnąć się o wiele tysięcy lat do epoki ka- mienia łupanego albo paleolitu. Cią- głość osadnictwa da się jednak do- piero uchwycić od neolitu. Ludność, która zamieszkała nasz kraj, przy- była szlakami, prowadzącymi z po- łudnia na północ, gdyż to odpowia- dało cofaniu się w epoce poprzedniej lodowca północnego. Późniejsza jesz- cze epoka brązu przynosi nowe i do- noszące zmiany nie tylko w rodzaju posiadanych narzędzi, ale również w składzie ludności. Jest to już ok- res rozejścia się ludów zwanych indoeuropejskimi, ale sprawa ich najdawniejszych siedzib pozostaje wciąż sporna.

Mało prawdopodobna wydaje się zarówno teoria dalekiego i jałowego Pamiru, jak też ubogiej i ciasnej Turynii. Wyłącznie zapatrzenie się w dane językoznawstwa zdaje się zacieśniać nasze horyzonty patrze- nia. Z chwilą gdy rozjaśnia się nie- co horyzont historyczny, naszą uwagę zatrzymują przede wszystkim lu- dy od dawna rolnicze, jakimi byli w rejonie Morza Śródziemnego prze- de wszystkim Ligurów. W czasach już historycznych (starożytność) ru- chy ze wschodu przywodzą samych koczowniców. Na północy po daw- nemu gnieźdzą się ludy myśliwskie w obyczajach swym pierwotniejsze tak od rolników jak i pasterzy. Wielką rolę zaczynają odgrywać najazdy z morza, w których celować będą lu- dy dopiero wtórnie przychodzące z północy, a zmuszone do tego kłę- skami przyrodzonymi (klimat). Samo rozsiadanie ludów zwanych in- doeuropejskimi rzuca pewne świa- tło na dawność ich siedzib, a to łą- czy nie z najwcześniejszymi o nich wiadomościami. Najdalej odbiegli od pierwotnych swych siedzib Indowie, a najbliżsi im są Bałtowie, którzy utrzymali archaizmy w języku przez tamtych zachowane tylko w zabytkach. Słowianie są z wielu względów bliżsi Bałtom. Te parę słów niech posłużą nam za wstęp.

W obrębie Słowiańszczyzny pełne historyczne wyodrębnienie Polski na- stępuje względnie późno. Wyprzedzi- li nas w tym Słowianie południowi, a w pewnej mierze też ci, którzy znaleźli się na szlaku Dnieprom. W tym ostatnim przypadku przy- udziale, dość różnie ocenianym, skandynawskich Rusów. Do Słowian południowych zaliczamy tych, któ- rzy przedostali się na Balkany czy nad Adriatyk we wczesnym śred- niowieczu. Masowe te migracje lu- dnościowe zaważyły bardziej aniżeli do niedawna drużyny wojenne ger- mańskie w części zachodniej kon- tyntentu. Szlaki południkowe są w tym czasie silniej uczęszczane ani- żeli równoleżnikowe. Ale i te ostatnie nabierają znaczenia jeszcze we wczesnym średniowieczu (Awarowie i inni), choć i ci w osadnictwie są zastępowani właśnie przez Słowian, którzy w mniejszych grupach sie-

21 LAT TEMU

wej zmniejszona do 1/4 poziomu z grudnia (1944 roku — Z. S.)...”

Rzeczywiście — jak wynika z póź- niejszych zestawień w tym samym „Dzienniku” — o ile na przykład w grudniu 1944 roku dostawy amunicji karabinowej dla Wehrmachtu wy- nosiły jeszcze średnio 49 pociągów dziennie, w lutym 1945 spadły do 8—9 pociągów dziennie. Ale w nie- których dziedzinach produkcji amu- nicji utrata ziem pomiędzy Wisłą a Odrą odczuła została przez Wehr- machta już w styczniu. Mianowicie, jakkolwiek dowództwo niemieckie liczyło na dostawy 1.593.000 poci- sków do dział przeciwpancernych kalibru 40—42 mm, otrzymało ich ogółem w tym miesiącu tylko 367000.

Wreszcie straty tylko w samych karabinach poniesione na skutek działań radzieckich w drugiej poło- wie 1944 roku i na początku 1945 roku, szacowane były przez dowód- ztwa niemieckie na ponad 3 i pół mi- liona. W lutym jednak, mimo że sta- rano się teraz maksymalnie nasilić produkcję uproszczonych karabi- nów tzw. Volksgewehr, zdołano ich wyprodukować zaledwie 200 tysię- cy. W efekcie, 12 marca 1945 roku,

OGŁADY
POLEMIKI
POSTULATY
Tygodnia

ODDATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 221 23. I. 1966 Rok VI

Bormann wydał gauleiterom rozkaz, by w celu uzbrojenia w karabiny przynajmniej żołnierzy regularnych jednostek Wehrmachtu — odbierać je batalionom „Volkssturmu”.

Trzecia Rzesza rozpoczynała woj- nę jako największa potęga zbroje- niowa Europy. Napadając na Zwią-zek Radziecki, dysponowała najwięk- szym w świecie zmobilizowanym po- tencjałem zbrojeniowym. Ale po cio- sach radzieckich ofensyw, które przyniosły wyzwolenie tych ziem Polski, które stały się polami bitew drugiej wojny światowej — nie mo- gła już zabezpieczyć nawet sobie do- statecznej liczby karabinów.

Wiślańsko — odrzańska operacja przyniosła nam wolność. Przetarciła zarazem kręgosłup hitlerowskiej be- stii.



Prof. dr Kazimierz Tymieniecki

też (w przekładzie) jego opinie o Fennach (Finach), a to w przekon- aniu, że skromne początki nikomu wystydu nie przyniosą: „Fennowie wyróżniają się zdumiewającą dziko- ścią i wstrętnym ubóstwem: nie mają ani broni, ani koni, ani do- mowego ogniska; pożywieniem ich ziota, odzieniem skóry, legowiskiem ziemia; jedyną ich nadzieją w strzałach, których ostrza z braku żelaza sporządzają z kości. To samo polowanie żywi zarówno mężczyzn, jak i kobiety... Małe dzieci nie mają innego przed zwierzem i deszczami schronienia prócz byle jak ze sple- cionych gałęzi urządzonych kryjówek...” (Germ. c. 46).

Wrócimy jednak do Słowian, któ- rzy w tym czasie pod imieniem We- nedów byli powszechnie znani (naz- wa obca, a nie własna) i których cy- wilizacja była dalej posunięta w po- równaniu z północnymi Finami, ale daleko im jeszcze było do cywiliza- cji śródziemnomorskiej. Moment przełomowy tworzenia własnych państw musi nas jeszcze zatrzymać. W IX w. i w pierwszej połowie X w. stan polityczny nawet Słowian pół- nocnych da się wcale dobrze odto- rzyć na podstawie źródeł współczes- nych, a kwestie sporne posiadają w dzisiejszej nauce raczej drugorzędne znaczenie. Najważniejszym stwier- dzeniem jest to, że na całej prze- strzeni od Łaby poza Dniepr i od Bałtyku poza Karpaty i Sudety, wielkich państw i dobrze ustalonych jeszcze nie było. Panował więc, jak to nazywamy, byt plemienny. Daw- niej i rozleglejsze państwa słowiańskie (też mieszane etnicznie) znajdowały się tylko poza tymi gra- nicami (w kierunku południowym). W dalszym ciągu mamy też na uwa- dze wyłącznie Słowian polskich.

W ciągu całego więc wieku IX i w początkach następnego na całym obszarze późniejszej Polski większej organizacji politycznej jeszcze nie było.

Czy była więc w użyciu sama naz- wa Polski? Można mieć w tym kie- runku poważne wątpliwości. W źró- dłach współczesnych nigdzie jej nie znajdziemy. A co więcej jeszcze w czasach Mieszka I nazwa ta nigdzie nie wystąpi. Nazwy współczesne, wciąż jeszcze obce (bizantyjska i nie- miecka) dadzą się sprowadzić do Łę-

Dokończenie na str. 2

Historyczne proroctwa — historyczna nauka

Pod takim tytułem ukazał się w nu- merze 14 „Życia Warszawy” artykuł Jana Górskiego. Autor przedstawia w publikacji profesora Oskara Haleckie- go i jego idee w związku z jakimś rekomendacją książki tegoż profesora przez Episkopat polski jako lektury dla biskupów niemieckich. Z artykułu tego przedrukowujemy niektóre fragmenty. „Profesor Oskar Halecki należy do starszego pokolenia uczonych pol- sko-amerykańskich; autor erudy- cyjnych prac o epoce jagiellońskiej, a także o uni kościelnej w tamtej epoce przebywa na emigracji od r. 1939. Od wielu lat jest profesorem na Uniwersytecie w Nowym Jorku oraz na Uniwersytecie Columbia; w okresie tym opublikował szereg prac w języku angielskim, m. in. „The Limits and Divisions of Euro- pean History” oraz „Borderlands of Western Civilization”.

Nazwisko autora tych książek sta- ło się ostatnio głośne z przyczyn na- stępujących: W komunikacie Epi- skopatu polskiego, wydanego po od- powiedzi biskupów niemieckich, przedstawiciele hierarchii polskiej zalecają swoim partnerom lekturę popularnej książki prof. Haleckiego pt. „Historia Polski”. Lektura tej książki ma służyć zbliżeniu i wzaj- jemnemu zrozumieniu współczes- nych Polaków i Niemców.

Fakt, że rekomenduje się w tym wypadku dzieło politycznego emi- granta musi budzić zdziwienie. Pol- ska nauka historyczna liczy wśród swoich przedstawicieli wielu uczo- nych, których katolicki światopogląd i uczucia religijne nie budzą nieczyli wątpliwości. Działła w Pol- sce Katolicki Uniwersytet Lubelski i szereg akademii teologicznych, a wielu wybitnych uczonych pracują- cych na uniwersytetach i w Polskiej Akademii Nauk deklaruje wprost swój katolicki światopogląd. Należy do nich i znakomity badacz historii profesor Kazimierz Tymieniecki i

ksiądz profesor M. Żywczyński, au- tor wydanej niedawno syntezy hi- storii powszechnej w XIX wieku. Te listy można by dalej rozwinąć. Światopogląd i przywiązanie do za- sad religii katolickiej nie przeszkad- za tym uczonym twórców uczestni- czyć w krajowym życiu naukowym. Zaden z nich jednak nie zasłużył, jak widać, na rekomendację ze stro- ny biskupów polskich — tylko emi- grant prof. Oskar Halecki.

Jego „Historia Polski” napisana została dla cudzoziemców w r. 1933 i potem autor kilkakrotnie ją aktu- alizował. W przedmowie do niej czy- tamy, że autor zawsze dążył do prawdy naukowej, nigdy natomiast nie uprawiał propagandy politycz- no-publicystycznej. Wbrew temu ostatni rozdział poświęcony Polsce współczesnej jest ilustracją wulgarn- ej działalności propagandowo-po- litycznej, podporządkowanej jedno- znacznym intencjom. W rozdziale tym autor obwieszcza, że Polska straciła niepodległość w roku 1945, kwestionuje wręcz państwowość polską reprezentowaną przez Polskę Ludową, wyraża całkowitą lojalność rządowi londyńskiemu i prezyden- towi Augustowi Zaleskiemu. Wresz- cie wyraża nadzieję na „wyzwolenie Polski” przez Stany Zjednoczo- ne w milenialnym roku 1966. Histo- ria Polski — powiada w innym miejscu zapożyczając terminologię od Władysława Andersa — jest hi- storią bez ostatniego rozdziału. Ten właśnie rozdział dopisać mają — wedle intencji profesora — sprzy- mierzone militarne z Republiką Federalną Stany Zjednoczone.

Rekomendacja przez biskupów polskich książki o takich akcentach jest więc gestem politycznego lekce- ważenia państwa polskiego. Ozna- cza to zlekceważenie współczesno- go państwa polskiego i nie- zmiernego trudu jego obywateli, którzy dzięki nowym sojusmom za- pewnili bezpieczeństwo tego kraju, którzy zorganizowani przez pla- nową działalność państwa stworzył podstawy wzrostu i unowocześni- nia Polski. Takie poglądy na Polskę współczesną mogłyby oczywiście roz- wiąć obywateli amerykańskich. Pro- pagowanie natomiast takich poglą- dów przez obywateli polskich jest sprawą wręcz oburzającą.”

Inżynier - kancelista?

Na tropach marnotrawstwa... wiedzy

Wiele dyskusji i wniosków, związanych ze zbliżającym się Kongresem Techniki szczególnie dotyczy gospodarki kadrami inżynierskimi. Dla społeczności technicznej rzecz jest podstawowej wagi; ponieważ zaś patrzeć można na nią z paru punktów widzenia — nie przeto dziwnego, że prowadzi do ożywionej wymiany zdań.

Przed wszystkim — strona liczbowa zjawiska. W gospodarce narodowej pracuje obecnie, okragło licząc, 110 000 inżynierów, w większości w przemyśle i budownictwie. Obok nich pracuje około 210 000 techników.

I tu natykamy się na pierwszą nieprawidłowość. Liczbowy stosunek inżynierów do techników jest u nas z gruntu niewłaściwy. Na jednego inżyniera przypada niespełna dwóch techników — gdy w krajach wysoko uprzemysłowionych pięciu, a nawet siedmiu.

Taką proporcję należy uznać za prawidłową, a wynika ona co najmniej z dwóch przyczyn. Pierwsza z nich — to postępujące zmiany w organizacji współczesnego przemysłu, w którym funkcje bezpośredniego kierowania procesami produkcyjnymi można powierzać osobom o średnim wykształceniu, przenosząc najwyższe kwalifikowanych inżynierów do zaplecza techniczno-badawczego, warunkującego postęp. Druga przyczyna, to długi czas i wysoki koszt kształcenia inżynierów,

stojący w sprzeczności z coraz powszechniejszym dążeniem młodych ludzi do szybkiego niezależnienia się.

Jeśli przeto stwierdzamy nieprawidłową strukturę kadry technicznej, zapytać możemy, czy i jakie następują w tym zakresie zmiany. Rocznik Statystyczny nie nastroja optymistycznie.

Wyczytamy mianowicie, że w 1958 roku w przemyśle i budownictwie pracowało 74 000 osób z wyższym wykształceniem; do roku 1964 liczba ich wzrosła o 30 proc. osiągając 96 000. W tym samym czasie ilość osób ze średnim wykształceniem wzrosła ze 140 000 do 210 000, czyli o połowę. Cieszy, że jednak szybszy był przyrost pracowników o wykształceniu średnim — martwi jednak niewielka różnica w tempie wzrostu. Jeśli dotychczasowe proporcje miałyby być zachowane, osiągnięcia prawidłowego stosunku nie moglibyśmy się rychło spodziewać.

W sytuacji, kiedy w przemyśle pracuje za mało techników, siłą rzeczy funkcje im przynależne powierza się inżynierom. Pracują oni tam, gdzie nie potrzeba wysokich inżynierskich kwalifikacji. W ostatnich latach przeprowadzono na ten temat wiele badań, ankiet, sondaży. Wszystkie potwierdzają powyższą prawdę niezbieżną, przynosząc fakty niejednokrotnie groteskowe. Chodzi nie o samo zastępowanie inżynierem — techniką; chodzi o pełnienie przez inżynierów, przez sporą część ich czasu, funkcji maszynistek, kreślarzy, kancelistów wypisujących zlecenia i formularze.

Skąd to pochodzi? W wielu przedsiębiorstwach przez mechaniczne traktowanie spraw etatowo-kadrowych zabiera się z biur technicznych wszelaką pomoc biurową, za-

bia się sekretarki, nie przydziela planistów, kalkulatorów itd., ponieważ zaś robota musi być zrobiona — robią ją inżynierowie. Że wykształcenie każdego z nich kosztowało dziesiątki tysięcy i więcej — o to nikogo głowa nie zaboli. Widzi się formalny wskaźnik wydajności pracy. Pewnie, że gdyby zwolnić jeszcze i gońca i sprzątaczkę, wskaźnik ten wzrósłby dalej o parę punktów. Na jak długo?

Z istniejącej sytuacji płyną dwa główne, jak się zdaje, wnioski. Po pierwsze — znacznie większa niż dotychczas uwaga trzeba zwrócić na kształcenie kadr na średnim poziomie technicznym. To jest już faktem. Ostatnio prawdę tę uświadomiliśmy sobie i można przypuszczać, że za parę lat znacznie się szybszy dopływ techników. Nawiasem mówiąc — warto, by pamiętać o tym przemysły, przygotowując nie tylko etaty dla nich, ale przystosowując do ich zwiększonego napływu organizację pracy.

Po drugie — i to wydaje się sprawą pilniejszą, bo bliższą — dążyć trzeba do jak najlepszego wykorzystania kadr inżynierskich. Poprzez odciążenie ich od prac nieistotnych; poprzez przydzielenie im odpowiedniej pomocy. Mówiąc ogólnie, poprzez egzekwowanie zasady, że inżynier ma robić tylko to czego wymaga jego inżynierskie wykształcenie.

Arkady Fiedler

Byłem na Madagaskarze

Redakcja „Głosu Wielkopolskiego”
DRODZY KOLEDZY!

Moja podróż na Madagaskar — druga w moim życiu na tę wyspę — ma się ku końcowi. Jestem już w drodze powrotnej na naszym M/S „Legnica”, a ponieważ zawitałmy do Portu Saidu, korzystam z tej okazji, by przesłać Wam tych kilka słów pozdrowienia.

Wyprawa na Madagaskar w pełni się udała. Było moc wrażeń i ciekawych przeżyć (blisko 200 stron zapisków w notesie). Wyspa pozostała równie piękna jak dawniej, Malgascy równie ujmujący, Malgasczki nie się nie zmieniły, tylko wszystko teraz droższe, cholernie droższe.

Jak było w planie, na Madagaskarze zwiedziłem przede wszystkim szczyty na zachodzie i południu wyspy, szczyty dawniej pełne pierwotnej dzikości i bujnego folkloru. Dziś szczyty te są także wciąż niezwykle ciekawe, chociaż już mniej prymitywne, mniej zaboronne i mniej roztańczone. Nowe czasy wpadły tu hurmem nie tylko do stolicy Tananarywy.

Tananarywa jest uroczą. Zakończyłem w niej j. To już całą gębą ćwierćmilionowa stolica ze wspólnymi alejami z blaskiem setek neonów i z pretensją do światowej polityki. Urbanistycznie jest to melanż tysięcy zaułków staromalgaskich z ultranowoczesnymi dzielnicami, wyczeranymi przez Francuzów — a wszystko to przepojone

przepychem tropikalnych kwiatów i drzew kwitnących.

Przywożę dwa szczególnie cenne i piękne motyle, mianowicie olbrzymiego motyla-kometę i najdobniejszą ponoć na świecie Uranie. Poza tym przeszło tysiąc zdjęć fotograficznych: na Madagaskarze nie brak było obiektów do fotografowania.

W Dar-es-Salam, stolicy Tanzanii, byłem przez szereg dni gościem naszej Ambasady i miałem miłe spotkanie autorskie z liczną tam Polonią.

Na Madagaskarze tłułem się po różnych wertepach w głębi wyspy, ale wszędzie zdrowie znakomicie mi służyło i tak niezmiennie do dnia dzisiejszego. Obecnie na statku porządkuję me materiały madagaskarskie, podczas gdy w sąsiedniej kabinie pisze artykuły do „Trybuny Ludu” jej sympatyczny korespondent, Jan Urbania, z którym ostatnio widziałem się w Rio de Janeiro przed dwoma laty. Urbania odbył ciekawą podróż przez Egipt i Etiopię, gdzie był w ekipie przewodniczącego Rady Państwa Edwarda Ochaba, a następnie zwiedził kilka krajów Afryki Wschodniej. Obecnie płynie razem ze mną z Dar-es-Salam do Polski. Na M/S „Legnica” jest tak wspaniałe jedzenie, że obżeram się co niemiara.

Tu w Port Saidzie praży wciąż słońce i mamy przeszło 30 stopni ciepła. Za kilka dni przepłyniemy przez Kanał Sueski, a na Morzu Śródziemnym odetchniemy wreszcie w ludzkim, europejskim chłdzie i jeszcze bardziej zatęsknimy do Polski.

Tymczasem serdecznie pozdrawiam nie tylko Waszą Redakcję, ale także cały Poznań, który z tego dalekiego południa wydaje mi się najbardziej uroczym miastem — tak samo jak i poznaniacy.

Bywajcie i do widzenia.

Arkady Fiedler

Z książką na ty

Najpierw w charakterze notki o pozycjach wznowionych, a szczególnie poszukiwanych. W serii „Dzieł” Żeromskiego otrzymaliśmy V tom „Dzienników”, obejmujący okres od 29 lutego 1888 do 12 lipca tegoż roku. O walorach tych zapisów Stefana Żeromskiego pisało się już zbyt wiele, żeby trzeba było tutaj raz jeszcze się powtarzać. Ukazało się też nowe, wielonakładowe (40 000) wydanie „Czarodziejskiej Góry” Tomasza Manna, pisarza, którego percepcja w Polsce jest wyjątkowo duża. Entuzjastą autora „Buddenbrocków” będą mieli okazję do zapoznania luki w swojej bibliotece. Polecam też arcykreatywne posłowie Romana Karsta.

Z prac o charakterze dokumentacyjnym otrzymaliśmy interesującą, miejscami zoła rewalacyną pracę Jerzego Drewnowskiego i Kazimierza Koźniewskiego o Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN) pt. „Pierwsza bitwa z Gestapo”. Są to dzieła jednej z najwcześniejszych warszawskich organizacji konspiracyjnych, spisane przez bezpośrednich założycieli i kierowników tej organizacji. O PLAN-ie wiele się słyszało, nie zawsze jednak były to wiadomości najbardziej ścisłe. Dzięki relacji obu autorów jeszcze jeden wyzinek bohaterskiej walki narodu z okupantem uratowany został od zapomnienia.

Wznowiona została także nader cenna książka Wojciecha Sulewskiego

go „Lasy w ogniu”, próbująca oddać obraz tragicznej historii wojennej Zamojszczyzny w latach 1939-44; tragicznej, ale zarazem i jakże dramatycznej i bohaterskiej w zderzeniu walei postawie ruchu oporu, pod barwami AL, AK, BCh, podejmującej w partyzantkich oddziałach akcie przeciwstawiania zamarom wroga.

Z nowych przekładów w serwisie „czytelnikowski” do zanotowania byłaby jedna właściwie pozycja, „Żelazny kaganek” pisarza bułgarskiego Dymitra Talewa. Autor siegnął do dramatycznych chwil dla narodu bułgarskiego — życia i walki z tu-

Eugeniusz Paukszt

W „Czytelniku”

recka okupacja. Akcja toczy się w połowie XIX wieku w Macedonii, osnuta zaś jest na tle dzieł jednej rodziny, a właściwie rodu Głusze-wów.

Ukazało się bardzo wiele nowych pozycji pisarzy polskich. Przynajmniej kilka z nich chciałbym dzisiaj zaanonsować. Po „Arkadii” Jerzy Putrament odosłot obecnie „Czarne sosny”, zbiór krótkich impresji i opowiadań, związanych z przeżyciami w obcowaniu z naturą. Putrament jak rzadko który z pisarzy, czuje i rozumie przyrodę, a związek z nią człowieka widzi głębszy, niż powierzchowne zetknięcia. Przyroda podsuwa refleksje związane z najsłotniejszymi sprawami życia.

W małym, ale mistrzowsko napisanym utworze Kornel Filipowicz znów nawraca do czasu wojny i okupacji. „Ogród pana Nietzsche”, to pozorne sielski obraz bytowania Niemca-emeryta, entuzjasty kwiatów i płatków, dobrego, spokojnego człowieka. I tylko przypadek odsłania iakże odmienną iego wojenną przeszłość. Świetne studium psychologiczne.

Otrzymujemy coraz to nowe książki Aleksandra Baumgardena, ambientne, usiłujące dotrzeć do sedna wielu niefatwych i poamawianych spraw naszej współczesności. W powieści „Julian”, umiejscowionej w niewielkiej osadzie hutniczej szeroka paleta zarysowane jest środowisko hutnicze. Z tym, że huta jest tylko tłem, obiektem natomiast peregrynacji psychologicznych autora są ludzie związani z tą hutą.

Bardzo ciekawym temem są nowe opowiadania Włodzimierza Krzemińskiego „Zgas papierosa, Jack”. Wachlarz tematyczny jest szeroki, autor siega zarówno do swoich wspomnień wojennych i ienickich, iak też zahacza o nawałniczne sprawy dzisiejszego dnia. Ważne jest bardzo własne widzenie problemów, usiłowanie dotarcia do rzeczywistej ich treści, a przy tym własny, oryginalny styl, konstrukcja, słowniowanie napięć.

Chciałbym jeszcze odnotować wznówienie „Nieśmiętego narzeczonego”, uroczego tomu wschodnich, głównie chińskich opowiadań mistrza tej formy literackiej, Wojciecha Zukrowskiego.

POCZĄTEK POLSKI

Dokończenie ze str. 1

chów albo do Lachów, ale w żadnym razie do Polaków. Ta ostatnia zjawia się natomiast w czasach Bolesława Chrobrego i to zarówno u bliskich i dalekich. Dawna nazwa utrzymuje się u Węgrów (Lengyel, czytaj Lendiel), Rusi (Lachy) i Litwinów (Lenkas). Natomiast u zachodnich sąsiadów (Niemcy i cały zachód), a także u samych Polaków, była w powszechnym użyciu. Można wnosić, że u tych ostatnich nawet wcześniej, a Niemcy dopiero od nas ją przejęli. Znaczenie tej nazwy musi nas zainteresować, ale przede wszystkim jej pierwotne brzmienie. To było Polanie. Wyprowadza się też powszechnie od pól i ma analogię zarówno słowiańskie (Polanie kijowscy nad Dnieprem, ale także Kosowe Pole i to nie jako miejscowość, lecz obszar znaczny), jak i obce (Campania jeszcze rzymska, Magonia celticka, a za to Champagne

franc. to samo co Campania, niem. Feld w nazwach złożonych). U nas mamy też liczne nazwy od lędów utworzone, ale te oznaczają raczej miejsca suche wśród błot.

Umiejscowienia najstarszych Polan musimy szukać w ziemi dokoła Gniezna, która ma wszystkie do tego warunki. Poznań był twierdzą niezdytą wśród błot Warty i Cybiny i stąd jego pierwotne znaczenie. W nazwach wielkie znaczenie miały zawsze kontrasty. Polanie kijowscy byli przeciwstawieniem sąsiednich leśnych Drewlan. W czasach Chrobrego Polanie byli, przeciwstawieniem Pomorzan. Tam bowiem skupiał się interes polityczny państwa szybko rosnącego w siłę, a z opowieści o biskupie Reinbernie (u tegoż Thietmara, który spopularyzował nazwę Polan) wiemy, że oni sami też stwarzali na miejscu trudności, choć te umiano wówczas opanaować. Niech to więc będzie naszym wkładem do opowieści o początkach Polski.!

Prof. dr. KAZIMIERZ TYMIENIECKI

!) Lektura do polecenia: Początki państwa polskiego. Księga tysięczna, t. I i II Poznań 1962. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

NA PROGU OŚMIOLETKI

Szkołnictwo wkroczy we wrześniu w pierwszy rok przekształcania szkoły siedmioklasowej w szkołę ośmioklasową. Problemom związanym z tą reformą „Głos Nauczycielski” poświęca wywiad z ministrem oświaty Wacławem Tułodzieckim.

W związku z przedłużeniem nauki do ośmiu lat, w skali krajowej tylko nieznacznie wzrosło obciążenie izb lekcyjnych uczniami — z średnio 40 do 40,3 ucznia. Trzeba jednak pamiętać, że istniejąca sytuacja nie odpowiada ustalonym normom i warunkom dla ośmioletniej szkoły. W zestawieniu z potrzebami, które ustalone zostały w 1961 r., na 1 września 1966 r. brakować będzie około 19,1 tys. izb lekcyjnych, niezależnie od potrzeb w zakresie pomieszczeń dodatkowych: pracowni, sale gimnastyczne, świetlice.

„Wysunięcie przez Ogólnopolski Komitet FJN hasła „Naród swojej młodzieży”, utworzenie Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Internatów daje nam gwarancję — podkreśla minister, — że dzięki ofiarności naszego społeczeństwa zgromadzimy środki, które obok funduszy przeznaczonych na inwestycje szkolne przez państwo, pozwolą nam na szybsze zapewnienie wszystkim szkołom odpowiednich warunków pracy.”

CZY ZABRAKNIĘ CHIRURGÓW?

Na pytanie to stara się odpowiedzieć Danuła Majewska w „Tygodniku Demokratycznym”. Już teraz brak chirurgów, przede wszystkim w przychodniach. Znakomita większość lekarzy tej specjalności pracuje bowiem w szpitalach, mając

tam możliwości odbywania szeroko pojętej praktyki.

Po tzw. etatyżacji, większość chirurgów wybrała etaty w szpitalach, a ci, dla których zabrakło tam etatów, podjęli pracę w spółdzielczości zdrowia, lecznictwie przyzakładowym i resortowym. W rezultacie w przychodniach chirurgów pracujących na pół etatach. W przyszłości może zabraknąć chirurgów także w szpitalach, bowiem studia medyczne coraz wyraźniej się feminizują, a kobiety, jak wiadomo, stronią z wielu zresztą względów od specjalności chirurgicznej. By zapobiec powiększaniu niedoboru chirurgów, trzeba — zdaniem autorów — w porę podjąć odpowiednie środki zaradcze.

TOWARZYSZ PICASSO W POLSCE

„Polityka” przynosi obszerny szkic — wspomnienie Mieczysława Bibrowskiego, przypominający epizod życia Pabla Picassa, wiążący się z Polską. Autor był jednym z inicjatorów zwolania w Polsce Światowego Kongresu Intelektualistów w obronie pokoju, który odbył się we Wrocławiu.

„Wspomnienie niniejsze — stwierdza redakcja „Polityki” — to barwna historia „prowincjonalnej” (jak Europy przez byka) w momencie, gdy prawdziwa Europa porwana w dwie przeciwne strony miała zostać rozdarta na dwoje i gdy z Wrocławia rozległ się głos nawołujący świat do rozsądku i opamiętania”.

POLSKA SZKOŁA TEATRU

W „Kulturze” Witold Filler zastanawia się, „Czy istnieje polska szkoła teatru?”. Odpowiadając na to pytanie twierdząco, autor pisze:

„Wyróżnikiem polskiej szkoły teatru jest skłonność do konkretyzacji myśli, które teatr ma przekazać widzowi w imieniu autora. Za pierwszy obowiązek inscenizatora uznawane jest udzielenie odpowiedzi na pytanie „po co to gram”. Przy czym odpowiedź najłatwiejsza, „aby przypomnieć zapomniane”, bądź „aby przedstawić nieznane dzieło”, nie jest zaliczana. Inszeniacja musi w coś być, musi coś załatwiać; w najgorszym przypadku — musi coś popierać. Wtedy dopiero jest „ze szkoły”, „jest polska” i warto o niej mówić.”

*

„Zycie Literackie” drukuje fragment sztuki Ramona del Valle-Inclana „Słowa boże” w przekładzie Stefana Hebanowskiego, sztuki, której polska premiera odbyła się 14 bm. w Teatrze Polskim w Poznaniu; tekst ilustrowany jest zdjęciami z tego przedstawienia. „Polityka” przynosi korespondencję z Waszyngtonu pisma Zygmunta Broniarskiego zatytułowaną „Sprawy rodaków widziane z USA”. „Szpilki” wydały podwójny numer z okazji jubileuszu 30-lecia (gratulujemy!), głosząc hasło tygodnia: „Polska! Gogola!”. Przypominamy, że „Walka Młodych” rozpoczyna druk opowieści sensacyjno-spiegowskich na temat walki z agentami obcego wywiadu w Polsce, przygotowanych przez Jerzego Broniarskiego do tomu „Niewidzialny w tłumie”, który ukazuje się nakładem „Iskier”. „Motor” artykułem L. Rejowskiego włącza się do dyskusji na temat, czy zmieniać kodeks drogowy; autor jest zdania, że zanim się coś zmieni, należy po prostu bardziej zatroszczyć się o lepsze niż dotychczas egzekwowanie tego, czego dotychczas się nie egzekwuje. Słusznie. Na zakończenie celna myśl z felietonu Hamiltona w „Kulturze” („Rekordy i smutek”): „Człowiek jest dopóty młody, dopóki ma więcej projektów niż wspomnień, albo przynajmniej tyle projektów, ile wspomnień.”

LEKTOR



GONITWA CZY PRZECHADZKA

„... myślę, że każda firma w USA mogłaby pozazdrościć Polakom takiej fabryki i takich fachowców, jakich poznaliśmy w „Elwro”.

Ta opinia Thomasa Colliera, członka Departamentu Handlu USA, wygłoszona w Nowym Jorku na spotkaniu z przedstawicielami 425 firm amerykańskich, rozpoczyna Maciej Wierzyński na łamach „Kultury” artykuł o wrocławskiej fabryce elektrycznej Elwro. Amerykanina — podkreśla autor — najbardziej uderzyła ludzka pomysłowość w tym zakładzie. Historia Elwro, to właśnie historia pomysłowości. Tam produkują się maszyn liczące typu ZSRR. Spośród krajów socjalistycznych tylko ZSRR i Polska wylatują maszyn matematycznych. I dlatego to wszystko co się dzieje w Elwro, ma tym większe znaczenie niż tylko dla naszego kraju. Obecnie produkujemy tam maszyn o średnim standardzie europejskim, ale:

„... żeby zbudować urządzenia na światowym poziomie — stwierdza autor — trzeba najpierw umieć zbudować Odrę, żeby obsługiwać urządzenie na światowym poziomie, trzeba najpierw umieć obsługiwać Odrę, żeby wykorzystywać urządzenie na światowym poziomie, trzeba najpierw umieć wykorzystywać Odrę.”